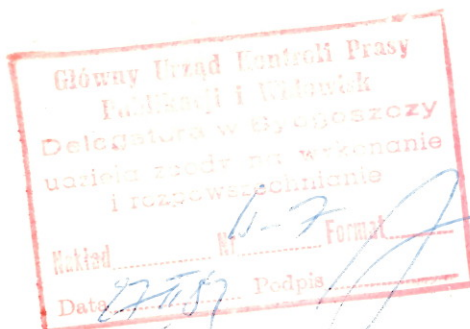


Wiktor ŻWIKIEWICZ

Redakcja Literacka



49  
Data: 1. III. 1981 r.

Godz.: 16.05 - 17.30

Ry Br

Mogłbym opisać, jak wyglądały wówczas pierwsze dni naszego pobytu w nowym świecie. Dzień po dniu, godzina po godzinie.

Tylko dla kogo ma to znaczenie dzisiaj? Ludzi w Strefie Systemu obchodzi tylko to, co jeszcze może się zdarzyć, a ja im tego nie wywróżę. Nie jestem wyrocznią. Hołubię wyłącznie wspomnienia o ludziach, którzy rozeszli się swoimi drogami. Nawet do nieba trafia się różną drogą. Tylko ja wrócę. Z nową załogą. I z arsenałem stokroć zasobniejsza. <sup>ym</sup> Po co wrócę? Nie wiem. Rozdrapywać stare rany? Nie było ich tak wiele. Umarły razem z ludźmi, którym kiedyś karbowały grzbiety. To była do**l**bra załoga.

Drugiej takiej nie użyczy mi żadna Strefa Systemu, nawet tego na wyższym szczeblu socjalnej ewolucji. Poza tym - sam jestem za stary, nazbyt zmęczony, chociaż na moim biologicznym zegarze dopiero za pięć dwunasta. Mimo to - chciałbym odpocząć. Czy to wygórowane pragnienia - nie chcesz mnie jeszcze nagrodzić rajem, moja społeczna opatrności? Strefa Systemu nie spieszy się mnie usynowić.

Poświęci jeszcze dwóch wyborowych gladiatorów, bylebym miał jakieś oparcie w <sup>me</sup> pneumatycznych szczudłach, I Bóg wie, do czego im potrzebna informacja o <sup>gnedze</sup> ~~grzędzie~~, którą próbowaliśmy uprawiać podczas naszej pierwszej wizyty. Społeczna opatrność ma nadzieję na zrealizowanie rajskiej utopii za sprawą Wielkiego Animisty Kosmosu? A może tylko mnie nie chce przenieść w stan spoczynku, gdyż tutejszy Raj nie przystaje do mojej wizji wniebowstąpienia? Zgoda - zabiorę swój węzełek i pokuśtykam precz. Za nic więcej nie mam zamiaru nadstawiać głowy.

Pamiętam, jak to było za pierwszym razem. Początkowo długo i bez rezultatów szukaliśmy przyczyny, dla której Planeta pozostała tak bardzo jałowa, jakiej iskry zabrakło, żeby się na niej zawiązała kołowrót biosyntezy. Horowitz tworzył swoje paranoiczne teorie, w różnych proporcjach mieszając biologię, fizykę, chemię, kabałę i kosmologię: Van den Berg rozgrzebywał warstwy geologicznych pokładów, jakby miał jednak nadzieję odnaleźć tam nieco organicznego próchna: Yongblod przebierał w kolekcji filtrów do naświetlania wodnych koloidów zaczerpniętych z morza, napromieniowywał je skoncentrowaną wiązką światła gwiazd - do

czegoś miało to służyć, był gorącym wyznawcą teorii Głosu Pana. Tymczasem ja i Ulam, drugi pilot, szwendaliśmy się bez celu i z resztą grupy zabawiali w chowanego. Czasami polegało to na znikaniu na dwie-trzy doby, to znów na wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, skutkiem czego co rusz to Van den Berg znajdował w glinie starannie obrobiony tłuk z obsydianu albo Yongblod z osłupieniem wciągał z zaczynów całkiem sformowane pasmo jakiegoś zielska - już zaczynał wierzyć w swą kreacyjną potęgę, po czym poznawał chlorellę z ekosystemu statku. Poza tym Ulam i ja szukaliśmy byle okazji, żeby się urwać w przestrzeń lub, wyciskając ze starboltów siódme poty, odświeżać technikę pilotażu w nieco rozrzedzonych warstwach atmosfery. Kiedyś daliśmy taki popis akrobacji w bezpośrednim sąsiedztwie statku, po którym Yongblod przywitał nas dziwnie roztrzęsioną miną, a Van den Berg - już przy kolacji - oschle poinformował, że nie znosi cyrku i - jeśli chcemy się popisować dalej - żebyśmy się im przynajmniej z oczu wynieśli.

Przypomniałem mu wtedy nasze dyskusje tuż po lądowaniu, kiedy to Yongblod roztkliwiał się nad ironią losu, która nawet

planecie w pełni spełniającej warunki do powstania życia - w naszym rozumieniu - nie dała tej szansy. Jak on to określił - niby kobiecie stworzonej do miłości, która jej nigdy nie zaznała i na zawsze pozostała bezpłodna. Van den Berg zazartował wtedy, że - na ile zna obu pilotów - nawet przy takiej bryle żwiru znajdzie się para idiotów chętna do zabezpieczenia dla wszystkich jakiejś męskiej rozrywki.

Miał rację. Nawet schodzenia z oczu dwa razy nie trzeba nam było proponować. Jeszcze przed nocą zabraliśmy dwa starboloty i poleciliśmy nisko nad Planetą, żeby ze statku zbyt długo nie mogli ~~się~~ nas śledzić. Potem najpierw Ulam świecą strzelił w przestrzeń - ja zanim i po trzech godzinach piekielnych przeciążeń dotarliśmy do najbliższego z księżyców planety. Ulam był dobrym radiotechnikiem - wystarczyło piętnaście minut na zainstalowanie tego, co trzeba. Wróciliśmy tą samą drogą. Noc na statku minęła spokojnie. Następnego dnia żaden z nas nie przejawiał jakoś ochoty do nowych eskapad. Snuliśmy się bez celu. Dyżur w nawigatorni pełnił Horowitz. Ziarno miało paść w najpodatniejszą glebę.

Siedzieliśmy właśnie w bibliotece, kiedy zjawił się Yongblod i zapytał grzecznie czy piloci nie złamią zawodowej etyki i raczą pokalać rączki. Chodziło o pomoc przy dopełnieniu jakiejś instrukcji, która zaleca badanie - wobec braku rdzennych form biologicznych - czy grunt martwych planet nie jest aby podatny na siedlisko dla ziemskiego pomiotu. Ulam i ja zgodziliśmy się chętnie. Blisko statku, prawie pod dyszami, Yongblod wytoczył swoje poletko - blisko, zawsze można się kiedyś rozmyślić i przy starcie wykarczować ogniem zdewaluowane precjoza. Potem przytaszczył inseminizacyjny zestaw - starannie zaplombowany pojemnik. W środku były różne zasuszone plechy, bulwy, cebulki i kilkanaście pudełek z nasionami. Kiedy to wszystko zgrzebaliśmy w czerwonej glebie Yongblod zjawił się w czymś w rodzaju konewki i zaczął polewać piasek. Na ten widok Ulam i ja parsknęliśmy śmiechem. Zapytałem Yongbloda skąd wzięł wodę. Wyjaśnił, że ze zbiornika plonów wewnętrznej biocenozy macierzystego statku. Zacząłem z niego podrwiwać i poradziłem raczej doprowadzić akwedukt od strony oceanu - trochę więcej zachodu, ale przynajmniej zostanie zachowana czystość eksperymentu i wszystkie witaminki pochodzą będą z jednego tortu.

Aż mu poczerwieniały uszy, kiedy tego słuchał. On - biolog.

Zmieszał się paskudnie, ostatecznie przyznał rację - i stojąc dalej bezradny, ze swoją konewką, z której kapały ostatnie krople - zapytał: co teraz począć. Zacząłem już kombinować, co tu wykręcić w miarę uciesznego, z gęby Ulama też poznać było, że tego rusza głową... I wtedy właśnie usłyszeliśmy dziwny jęk od strony trapu spuszczonego z wiazu statku. Obróciliśmy się wszyscy jednocześnie w tym samym kierunku. W ciemnym otworze śluzy majaczyła blada twarz Horowitza. Biała jak kreda. Patrzył na nas z wysoka. Coś ścisnął w rękę. Nagl<sup>e</sup> postąpił krok do przodu - Yongblod krzyknął ostrzegawczo - myśleliśmy, że zleci na łeb z wysokości trzech pięter. Jakoś trafił stopą na pierwszy szczebel, odwrócił się do nas plecami i zaczął schodzić nieporadnie, jakby ktoś popuszczał balast jego bezwładnego ciała na niewidzialnej linie. Kiedy był jakiś metr nad ziemią do reszty odpadł od drabinki. Pewnie chciał zeskoczyć, ale uczynił to tak niefortunnie, że po prostu klapnął siedzeniem na ziemię. Pozbierał się z niej natychmiast - cały jakiś nastroszony, dygocący jak w febrze. Ruszył nam na przeciw.

Nigdy nie potrafił chodzić w skafandrze ze specjalną biologiczną

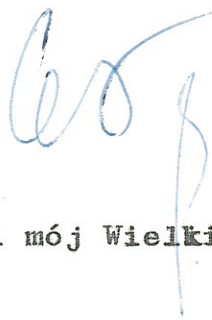
ochroną - teraz też szeroko rozstawił nogi, jakby miał pieluchę w kroku, patrzył na nas wielkimi oczyma i dreptał z wyciągniętym do przodu ramieniem. W pięści zaciskał zwitek folii, na której komputer kreślił swoje bohomy. Yongblod wyrwał mu to z ręki i zaczął kręcić, nie potrafiąc zrazu zdecydować gdzie dół gdzie góra. Ulam i ja podeszliśmy bliżej. Horowitz był niezbyt okazałego wzrostu, każdemu z nas sięgał do brody. Teraz od dołu zamglonym wzrokiem zajrzał nam w oczy i krótkim paluchem tknął w zielonkawe niebo. "T-tam - usłyszałem. - Ta-am są...". "Kto?" - spytał Yongblod. "O-ONI - jęknął Horowitz, - odebrałem sygnał. S-stamtąd... Komputer wyklucza pomyłkę... T-tam, na pierwszym księżycu... ONI tam są!".

I wtedy Ulam nie wytrzymał. Skurczył się i - zanim zdążyłem go trzasnąć w plecy - zaskowyczał nagle, zakrztusił cudacznym spazmem, a potem usiadł na ziemi i tarzał się wstrząsany chichotem. I ja też - poczułem, jak mi łzy tryskają z oczu - zapiałem jak kogut; a oni stali nad nami i nic nie rozumieli - tylko Horowitz wciąż szarzał na twarzy.

Wieczorem nie zjawił się w messie na wspólnej kolacji. To było szóste dnia od czasu naszego lądowania na tej cholernej planecie.

Kiedy, na krótko przed świtem, obudziłem się dnia następnego Horowitz siedział w mojej kabinie. Wyciągnął się w fotelu i patrzył na mnie spode łba. Kiedy przecierałem zaspane oczy wydało mi się, że się uśmiecha krzywo. Bez słowa wstałem i poszedłem do łazienki. Właśnie stałem z głową pod kranem, gdy wszedł za mną. Nie bardzo pamiętam, co wtedy powiedział. Było tam coś o jego trzydziestu latach służby w formacjach Floty, o nadziejach, wątpleniach i ufności, że jednak kiedyś doczeka się dnia, dla którego warto było znosić te wszystkie lata i w ogóle dać się zwerbować do Szkoły Zwiadu. Zacząłem go przeproszać, ale mi przerwał bezceremonialnie i powiedział, że nie ma za co przeproszać. Wyciągnąłem głowę spod kranu i popatrzyłem na niego jak na wiariata. Uśmiechał się ciągle tak samo, jakby drwił sobie. Był mały, niepokąźny, tylko włosy miał bujne - sterczały mu na główce wysoką falą jak koguci grzebień. Kiedyś były czarne, potem zeszpakowaciały nieco, teraz - zadrzałem - były zupełnie białe. Poczułem jak mi coś skacze do gardła. Ale on tylko mnie klepnął po ramieniu i powiedział: "Nie martw się. Ja i tak wierzę. W coś trzeba wierzyć. Nawet jestem wam wdzięczny. To była paskudna ostroga."





Lecz wiara czyni cuda, dlatego może i mnie się trafi mój Wielki Dzień?... Chodź ze mną, coś ci pokażę". Dałem się prowadzić za rękę - jak stałem, z mokrą głową, gołym tyłkiem, bosy, tylko z ręcznikiem w garści. Zaprowadził mnie do służby i kazał wskoczyć w skafander. Zrobiłem to posłusznie i trochę dla świętego spokoju. Wtedy zwolnił wentyle zmieniające powietrze na azotowy cocktail planety. Opadła kłapa włazu, a Horowitz znowu popatrzył na mnie z tym piekielnym szyderstwem w oczach i powiedział: "A słowo ciałem się stało".

Taki był początek. Później ten dzień przywykłem w duchu określać jako Wielki Dzień Boba Horowitza - chociaż, Bogiem a prawdą, on sam do niczego nie przyłożył ręki i na Stwórcę kreować można było raczej Yongbloda tudzież mnie i Ulama - dwóch jego archaniołów usłużnych.

Tamtego dnia trudno było zawierzyć własnym oczom, kiedy się tak patrzyło z wysoka na korpus statku uwięziony w płątaniu pnączy, bambusowych chaszczki i drzew normalnej niemal wielkości. A wszystko to otaczał rozszerzający się jak powódź krąg najprawdziwszych, zielonych traw.

To była autoentyczna eksplozja. Inaczej trudno nazwać to fantastyczne zjawisko. Podczas nocy nasiona zdążyły wykiełkować, rozwinąć się i - wbrew wszelkiej logice - osiągnąć dojrzałe stadium. I drzewa w tym były najdziwniejsze - wielkie i wciąż nadymające pnie obrzmiałe sokiem, chociaż z wierzchu pokryte korą tak cienką, że aż przezroczystą. O świcie otaczała nas prawdziwa oaza. Lecz był to dopiero początek. Yongblod łapał się za głowę, bił w piersi i zaklinał, że bez słonecznej energii nie mógł nastąpić tak wielki przyrost roślinnej masy, choćby wszyscy diabli ciągnęli te kiełki z nasion. Pewnie miał rację - chociaż noce na powierzchni Planety są dosyć widne dzięki kilku księżycom, gdyż dopiero ze wschodem błękitnego słońca rzeczywiście rozpoczął się prawdziwy koncert biosyntezy. Tego niepodobna opisać. To był prawdziwy cud. Wielki Wyśniony Dzień Boba Horowitza. Dzisiaj zostałem ostatnim świadkiem eksplozji tamtej bomby biologicznej. Trafiła prosto w planetę zdolną w fenomenalny sposób stymulować ~~maxim~~ rozwój flory - przez miliardy lat tak mozolnie kształtowanej w innym zakątku kosmosu.

691

Pamiętam - przyszła mi wtedy idiotyczna myśl do głowy - czy ów akcelerator biosyntezy oddziałuje tylko na zielsko. Ale my - ludzie - byliśmy zaplombowani z gwarancją wykluczającą rozwijanie nadliczbowych skrzydełek, poruszaliśmy się zawsze i wszędzie w skorupach skafandrów posiadających system ochrony nieprzenikliwy dla żadnych - pewnie i czarci~~ch~~ - mocy. Byliśmy, jesteśmy i zawsze pozostaniemy twardsi od nasion.

Wówczas, jeszcze na dzień przed naszym ostatecznym odlotem, zielona plama na czerwonych piaskach rozpełzła się tak szeroko, aż zmierzwioną falą nawisła nad oceanem. Tymczasem wokół nas nawarstwił się kożuch dzikich gąszczów do pół wysokości statku, tkwiącego w nich niby średniowieczna baszta. Gorączkowo pracujący Yongblod zaczął już ~~okrywać~~ <sup>d/</sup> okrywać cechy roślin niespotykane u form wyjściowych, jakieś gwałtowne mutacje, chociaż <sup>nie</sup> ~~ma~~ w tym żadnych wypaczeń - po prostu niespotykana zbieżność warunków stymulujących biogenezę, zaczyna wyzwalać potencjał możliwości już założonych w ewolucyjne trendy ziemskich gatunków, te wszystkie cechy, które mogłyby się ujawnić dopiero po miliardzie lat ewolucji w normalnych warunkach. Horowitz nikt wtedy nie słuchał.

Musieliśmy porzucić cudowne poletko i wracać.

Dzisiaj, z nową załogą, lecę tam po raz drugi. Po co?

Niewiem. I nie ma w tym żadnego lęku - chociaż zostałem sam, jakby wówczas zaciążyło nad nami swoiste "przeklęństwo kosmosu", nie mniej bezwzględne od tego, które kiedyś wykruszyło badaczy. Nie boję się więc - po prostu zdaje mi się, że - jako ludzie - nie mamy tam po co wracać. To samo mówił Horowitz. Nadmiar emocji zostawił mocny ślad na jego psychice. Winę ponosimy obydwaj - Ułam i ja. Wiem o tym... Chociaż dopiero dzisiaj. Wtedy dziwiłem się, co mu takiego odbiło, że nagle zmienił się nie do poznania: zapuścił brodę, przestał zmieniać bieliznę i po tygodniu chuchnęło o niego brudem a potem jak od wieprza. Gdzieś też zapomniał swoje soczewki kontaktowe, a bez nich był prawie ślepy - więc snuł się po statku jak pijany derwisz, czepiał się każdego i tłumaczył: "Spełniliśmy nasze posłannictwo. W głębę martwej planety założyliśmy zalążek życia. Dokonaliśmy zapłodnienia, na które ten martwy świat, jak na zrządzenie ślepego losu, czekał miliardy lat... Teraz możemy odejść... Musimy odejść, odejść..."

( Tym molestowaniem do odlotu naprzykrzał się do samego startu.

I, jakby teoria prawdopodobieństwa pragnęła dopełnić miary

( naszej niepewności, on rzeczywiście odszedł pierwszy - spośród

żywych.